№ 4.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1842. Poznań, dnia 16. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Anna Jakwiczówna.

Powieść przez B. F.

(Ciąg dalszy.)

9.

Po mieście wieść się rozbiegła, że panów radnych dziś mają sądzić. Chociaż szable szwedzkie wszędzie świeciły, jednak lud lał się jakby potokiem na rynek i drzwi ratuszne otoczył. Już teraz i nie jednego Szweda z niemi zmieszanego potrącono, bo nowiny o powstańcach co chwilę nadchodziły, a ludowi tylko przypomnieć jego siłę, a wnet ją w całym ogromie uczuje.

W sali ratusznéj zasiadała starszyzna szwedzka, a gdzie niegdzie między nimi świeciła podgolona czupryna i polska suknia.

Wprowadzono więźniów. — Łańcuchami okryci, twarze wybladłe i zżółkłe, włosy w nieładzie, ręce wychudłe wisły pod ciężarem kajdan — a jednak na czołach duma i siła, a w oczach spokojność którą daje czyste sumnienie. Spojrzeli na sędziów — i nie jednego twarz zadrgnęła, zęby się ścisnęły, i oczy rzuciły wzrok wzgardy na widok rodaków między niemi.

Ci siedzieli z spuszczonemi oczyma, ze wstydem na czołach, i łaszącym uśmiechem na ustach; chociaż zasiedli ławki sędziów, każdyby ich wziął za winowajców — bo czuli że zawiśli między ziemią i piekłem.

Chwile było milczenie, raz po raz tylko kajdany zadzwoniły. Potém podniósł się z ławy jeden w polskiéj sukni, i wezwał oskarzonych w imieniu prawego Monarchy Najjaśnieszego Karola Gustawa i zebranego sądu, aby przysięgli jako nie wiedzą gdzie się prawa miejskie podziały. Obwinieni odpowiedzieli jednogłośnie: że są gotowi zaprzysiądz.

Podano im krucyfiks, jeden po drugim klękał i przysięgał.

Już to po wiele razy ich badano, grożono śmiercią, cierpień w więzieniu pomnażano — dzisiaj ostatecznie mieli odpowiedzieć — miano ich uwolnić, albo też w zemście skazać na śmierć dla przykładu.

Teraz ozwał się znany nam rotmistrz: że są niewinni, skoro tak łatwo przysięgli. Ale komendant miasta ostro spojrzał na niego i powiedział: że go nikt o głos nie pyta; rozkazał więźniom zdiąć kajdany i odprowadzić do domu. Jednego tylko zwrócono do więzienia, a tym był cechmistrz rzeźników. Każdemu z wypuszczonych przydano rajtara, który go miał w dzień i w nocy nieodstępować. O było to płaczu, radości i powitań bez końca, uwolnionych obcy nawet ściskali jakby własnych ojców — bo oni cierpieli dla miłości wszystkich.

10.

Rotmistrz był częstym gościem w domu ławnikostwa od chwili uwolnienia panów radnych. To słowo wymówione na sądzie, że są niewinni, i naganę komendanta, wielu uważało jako przychylność ku Polakom.

Anna jednak idąc za instynktem serca gardziła nim jak wrogiem. Uważała go jak czarta, który na chwilę przywdział sukienkę anioła. — Błogosławiony kto nie ulega jego pokusie!

Z woli ojca była dla niego grzeczną choć sobie nie raz gwałt zadawała. A panowie Szwedzi wtedy

bardzo ugrzecznionemi byli. Choć już znali tę zasadę: że dla mężczyzny życie familijne jest poniżeniem, ale zatrudnieniem godném wyżéj usposobionych, mordować drugich, — pieszczotą duszy, jęk konających, — a widokiem najmilszym nędza ludu. Lecz Karol XII. ten morderca Patkula jeszcze spał w kolebce i tych pięknych zasad nie był urzeczywistnił.

Anna siedziała u stolika i haftowała, a rotmistrz z drugiéj strony patrzał w jéj oblicze. Brygidka siedziała przy pół otwartem oknie zajęta szyciem. Choć po niemiecku nie rozumiała, lecz z przymilającego głosu Szweda, z jego miłośnych spojrzeń, z krótkich ucinkowych odpowiedzi Anny, i ze wzgardy na jéj ustach osiadłéj, zmiarkowała przedmiot rozmowy. Nie ćwiczono jéj w udawaniu, dla tego przymus dobrowolny zdawał jéj się niesłychanym ciężarem, żałowała Anny serdecznie, i razem chciała żeby Szwedowi dokuczyła. Instynktem młodéj dziewczyny wiedziała, że przypomnieniem tego co się kocha, natrętnika tém nieznośniejszym czyni. Zanuciła więc półgłosem piosenkę, którą chorążyc lubił słuchać. Ledwie pierwsze słowa zaśpiewała, kiedy się dał słyszeć głos na ulicy: »Manny, Manny.«

Anna zadrzała, robotę z rąk wypuściła i osłupiałym wzrokiem spojrzała ku oknu. Brygidka zamilkła, bo myślała że pannę tak przestraszyła. Ale Anna ciągle w okno patrzyła, kiedy za drzwiami dał się słyszeć ten sam głos, a na progu komnaty stanął rzeski parobczak z workiem w ręku. Dzikim wzrokiem spojrzał na parę siedzącą. Anna wydała lekki okrzyk — a parobek się zaśmiał, okropnym konwulsyjnym śmiechem. Ona zadrzała i upadła — on zaś wyszedł.

Brygidka podniosla pannę nie zemdlałą, ale przestraszoną. Szwed się zbliżył do Anny — a ona krzyknęła głosem pełnem oburzenia: »Precz, precz!« — i to oburzenie malowało się na jéj twarzy, i w podniesionéj ku górze ręce, którą się zaslonila jak tarczą.

I znów głos dał się słyszeć: »Manny, manny.« Anna pobiegła ku oknu, i Szwed zdziwiony za nią wyjrzał. Parobek spojrzał ku nim — zaśmiał się głośno — a rotmistrz wybiegł na ulicę.

Tymczasem knechtowie opadli parobka i wydzierali mu mannę, on niby bronił swojéj własności, lecz widać za słabo, bo po lekkim oporze worek im oddał. Rotmistrz zbliżył się i spojrzał mu w oczy — ale się nagle cofnął — a ten dumnie wzniósł czoło ku górze, i wzrok iskrzący w nim utopił; prawą ręką sięgnął do lewego boku, i spojrzał jakby zdziwiony że nie ma broni. Zdiął kapelusz i pokazywał że mu knechty wzięli mannę. Rotmistrz stał nieporuszony, a parobek szedł ku rynkowi. Szwed chwilę patrzał za nim — obrócił się, dojrzał Annę w oknie. Twarz mu się zachmurzyła, i śpiesznie biegł za uchodzącym.

11.

Gruchnęła wieść w mieście, że chorążyca Czechowskiego, przebranego w chłopski strój uwięziono. — W jego pole od sukmany znaleziono list Żegockiego starosty Babimoskiego, w którym pisze do panów radnych, że prawa miasta w bezpieczném miejscu zachowano.

Szwedzi zaczęli się krzątać i wyszukiwać tych, coby jakąkolwiek mogli mieć styczność z chorążycem. Oni widzieli, że się wcale na polskiéj nie przyjęli ziemi, ale jako utknięte gałęzie z obciętego drzewa, za lada burzą łatwo z ziemi wysadzonymi zostaną. Dwunastu winowajców wynaleźli i wsadzili do zamku, a radnych miasta do śledztwa pociągnęli.

Zawołany ławnik wyszedł, a Anny serce największéj doznało katuszy. Chorążyc uwięziony niby z jéj przyczyny, a co smutniejsza że poniosł myśl z sobą iż zdradzała — i to dla Szweda. A teraz, Bóg wie co się z ojcem stanie? Wyszła z komnaty, aby boleść ukryć przed matką.

Wrócił pan ławnik wsparty na ramieniu Grygera, twarz u niego blada, smutek głęboki na czole. Zbliżył się do żony i wyrzekł przerywanym głosem:

»Straciliśmy syna, ale poległ broniąc ojczyzny. — Chorążyc zamknął mu powieki.«

Znać jaki sobie gwałt zadał, żeby te słowa ze spokojnością wymówić, bo osłabiony upadł na ławę, twarz dłoniami zakrył, i głośno zapłakał.

Ławnikowa uniosła się nagle z miejsca jakby syna chciała biedz ratować, potém wymówiła: »poległ« — upadła na krzesło i oczy zawarła.

Weszła Anna, spojrzała na rodziców, i widziała okropne jakieś nieszczęście. Przycisnęła usta do zimnych rąk matki i gorącemi łzami je oblewała. Ta jakby przebudzona jéj gwałtownem łkaniem, otworzyła oczy i zaczęła ściskać głowę swego dziecięcia.

«Matko cóż się stało?« I czekała na odpowiedź z taką bojaźnią, jakby po błyskawicy miał piorun na jéj głowę runąć. »Stefan nie żyje« wymówiła matka głosem grobowym i zdało się że z tem słowem rwały się strony jéj życia.

Anna przestała płakać, bo na tak nagłą boleść już i łez nie miała, palce tylko splotła i w niebo spojrzała.

»Anusiu, ciebie tylko już jedną mam na świecie« wyrzekła patrząc na żal córki. Na te słowa ławnik podniósł głowę, a jego oczy padły na Grygera,

Ze smutkiem patrzał Grygier na rozpacz rodziny i na jego zbladłém licu kilka łez przyschłych błyszczało. Pan ławnik podał mu rękę prawą, a lewą wyciągnął ku Annie.

»Dzieci moje« rzekł — uklęknijcie, »niech was pobłogosławię.« I złożył im dłonie, i żegnał ich krzyżem świętym.

»Grygerze« mówił daléj — »jak umrę bądź podporą mojéj żony, a opiekunem i mężem mojéj córki.»

Te ostatnie słowa Annę do przytomności przywołały, gdyż jéj ręka zadrzała; ale żadnym innym znakiem nie opierała się woli ojca, bo jéj serce w téj chwili takim było przywalone ciężarem, że żadna inna boleść już w nim miejsca nie miała.

Ojciec ich dłonie puścił — a ręce się rozpadły, jakby tam tylko jego wolą były zatrzymane. Podnieśli się, nie spojrzawszy nawet ku sobie.

12.

Anna siedziała smutna i zamyślona kiedy weszła Brygidka z twarzą rozradowaną. »Co ja pannie powiem, rotmistrz tu chce przyjść, pytał się czy panna jest w domu.«

Anna zapłonęła gniewem, czoło zmarszczyła »a mnie co do tego.«

»On pannę niby kocha, proście go za chorążycem.«

Przez chwilę Anna się namyślała, potem zapytała: »Kiedyż przyjdzie?«

»Zaraz.«

A w przyległéj komnacie pałasz i ostrogi po posadzce brzęczały, co w tych wojennych czasach równą było elegancyą jak dziś posuwistość salonowa. Anna się podniosła, i wyszła z taką szybkością, jak gdyby szła spełnić największą ofiarę, a w moc swéj duszy nie ufała. Postąpiła ku niemu, i złożyła usta niby do uśmiechu. On wyświeżony, czupryna postawiona do góry, uśmiech na ustach, przymilenie w oczach, czekał na Annę. Z całą grzecznością rycerską całował ją w rękę — a ona mu jéj nie usunęła. Pierwszy raz był z nią sam na sam. — Ośmielony prawił jéj grzeczności, ona nic nie odpowiadała — nawet się nie zmarszczyła. Nagle uklękła przed nim, ręce złożyła, ale nim słowo zdołała wymówić, on ją podnosił, zapewniał że u jéj nóg, właściwsze dla niego miejsce — ona ma rozkazywać a jego szczęściem te rozkazy wypełniać.

Anna się podniosła i z dumą zawołała: »Nie błagam pana rotmistrza o nic dla mnie, tylko o wolność dla pana Czechowskiego.«

Szwed się cofnął — grzeczności się urwały, najmniéj się tego spodziewał, po jéj dzisiajszém postępowaniu.

»Ja nie jestem komendantem, ja więźniami nie rządzę« odrzekł, nie spojrzawszy ku niéj. Ale Anna przystąpiła do niego i wzięła go za rękę.

»Pan rotmistrz mię nie chce słuchać, a ja bym mu była wdzięczną aż do śmierci.«

On spojrzał na nią, poznał że ten uśmiech, to przymilenie nie dla niego, ale dla chorążyca w więzieniu. Gniew i zazdrość obudziły się w jego sercu. Chwilę spoglądał na nię a potem wyrzekł z uśmiechem szatańskim: »Czechowski szpieg, musi umrzeć.«

13.

Kilka tygodni upłynęło od uwięzienia chorążyca i jego towarzyszów. Wiele razy ich badano, to wieść o skazaniu ich na śmierć coraz większego nabierala podobieństwa. W domu ławnikostwa wielki był smutek, bo ojciec widocznie pod troskami publicznemi i domowemi upadał. Ale i Anny serce przywalone wielkiemi zgryzotami, bo dwunastu więźniów ciężyło na jéj sumieniu.

Księżyc świecił w pełni, gwiazdy rozrzucone po błękicie dopomagały mu swojém światłem. Anna odeszła od śpiącego ojca i siadła przy oknie. Długo patrzyła w to czyste niebo, a boleść ustępowała miejsca smutkowi. Zatopiona nie w rozmyślaniu, ale w marzeniu, nie postrzegła, że przed nią od chwili stał Gryger. Czule patrzał w jéj oblicze, nachylił się ku niéj i ujął za rękę.

»Przychodzę pannę Annę pożegnać.«

»Więc i waszmość odjeżdża — więc nas już wszyscy opuszczają.«

»Idę więźniów z zamku uwolnić,« odrzekł cichym głosem. — »Anno! Bóg wié czy się na tym świecie zobaczymy, bądź szczęśliwa! — Teraz kiedym bliższy śmierci niż życia, nie obrazisz się choć ci powiem ze cię kocham, jak tylko kochać można.«

Anna pochwyciła jego rękę, przycisnęła ją do ust — ona w téj chwili miała dla niego cześć boską, nie przez wdzięczność, że uwolni ją od zgryzot sumnienia — ale czuła, że poświęcenie się dla drugich, jest najwyższém podniesieniem wartości człowieka. On złożył pocałowanie pożegnawcze na jéj ręku, i wyszedł.

Przez rynek, śpieszył na wodną ulicę, i wszedł do kamienicy na drugie piętro. Tutaj otworzył w ścianie szafkę, rozsunął firanki, i uklękł przed obrazem matki boskiéj. Krótko ale gorąco się modlił,

firanki zasunął, szafkę zamknął, i wyjmował ze skrzyni ubiór szwedzkiego rajtara. Przywzdział pancerz i misiurkę z kitą, na podobieństwo szwedzkiéj, za pas zatknął pistolety, a obok miecza nóż duży przypasał. Wziął małą skrzyneczkę pod pachy, a na to wszystko zarzucił płaszcz. Przebiegł próg mieszkania i zdawało mu się że ten dom spogląda żałośnie ku niemu, jakby na ostatnie pożegnanie. Cóż dziwnego, tu stała jego kolebka, w dziecinnych latach ten dom był dla niego światem. Chwilę patrzał na kamienicę, uśmiechnął się jakby ją chciał pocieszyć, i zwrócił się ku wielkiéj ulicy.

U ławnikostwa okno otwarte a w nim postać kobieca. Gryger odkrył płaszcz, a nóż u boku zabłysnął. Wskazał ręką ku zamkowi, a postać w oknie uklękła i wskazała ku niebu. On oparty o róg domu, chwilę z tą myślą patrzał na nię. — »Ona się modli za mnie, jak umrę, ona pomnie zapłacze.« — Ale po bruku ciężki miecz szwedzki z daleka jęczał. Gryger wyciągnął rękę na znak pożegnania i szedł ku zamkowi.

Zamek był opasany pojedyńczym murem ze strony miasta, a od pola podwójnym i fosą jak cały Poznań. Łatwy był przystęp od miasta, gdyż wcale go nie strzeżono; spokojnie było, nie obawiano się żadnego napadu. Gryger wsunął się fortką w bramie na dziedziniec zamkowy. Rozpuścił płaszcz, zbroja na piersiach błyszczała, choć go kto spotkał, nie zwracał uwagi na niego.

Zwrócił się ku stronie zachodniéj zamku. Tu wdłuż okien od piwnicy zakratowanych, przechodził się Szwed mierzonym krokiem. Gryger wcisnął się za stojące tam wozy, płaszcz zarzucił na głowę, i przyparł się do wału, na który padał gruby cień zamku. Zaczął go dolatywać głos pieśni: »kto się w opiekę« śpiewany wielu głosami, gdzieś tam pod ziemią. Śpiew ustał — i było słychać wstrząśnienie łańcuchów. Serce mu bić silnie zaczęło, i gniewném okiem mierzył Szweda pogwizdującego wesołą piosenką, jakby na szyderstwo pobożnym pieniom i brzękowi kajdan. Ręka mimowolnie chwyciła pistolet, a oko upatrywało serca, i tak namiętnie tam się wlepiło, że cała dusza patrzącego pewnie się tam zlała i potajemną siłą dosięgała duszy Szweda — bo się zatrzymał — obejrzał na wszystkie strony i przestał gwizdać.

W zamku ognie pogaszono, fortkę zawarto — cichość była wszędzie. Przerywały ją tylko patrole chodzące około murów, dając sobie hasło.

(Dokończenie nastąpi.)

Kraszewski, Krasiński, Czajkowski.

Spojrzenie na literaturę.

Pisząc te nazwiska obok siebie, nie zrywam się do osądzenia tych trzech równoczesnych talentów w naszéj literaturze, ani myślę oceniać szczegółowo płody ich gienjuszu, gdyż do tego wiele nauki, wiele rozwagi, a najwięcéj zarozumiałości potrzeba. Zdaniem mojém nic łatwiejszego jak powierzchowna, dowcipkująca recenzja, nic trudniejszego jak głęboka, gruntowna krytyka; — pierwszą pisze wiele ludzi niezdolnych nic nawet miernego utworzyć, nic z siebie wysnuć oryginalnego, druga nie jest dziełem jednego człowieka, jednego momentu; wielkie dzieło przetrawi wiele krytyk, z których się z czasem sąd wytrawny, głosem publicznym potwierdzony tworzy. Proste więc tylko osobiste zapatrywanie się moje na dzieła tych pisarzy udzielam czytelnikom Dziennika; gdy zamienianie spostrzeżeń i uwag między oświeceńszą publicznością jest powołaniem każdego perjodycznego pisma, nikt stąd urazy lub niechęci czerpać niepowinien.

Spomnieni pisarze tak rozmaici co do charakteru i talentu dadzą się jednakże pod jedną kategorją umieścić; wszyscy trzéj są **poeci** piszący prozą, wszyscy trzéj są powieściopisarze; każdy z nich podniósł powieść z niskiego szczebla do szczytnego stanowiska; każdy z nich na literaturę, na formy, na język znaczny wpływ wywarł. Otoż są znamiona pokrewieństwa duchowego między nimi, a w głębi jakżeż między sobą różni! — Kto chce gruntownie oceniać dzieła wielkiego pisarza musi najprzód biedz do jego matki i do jego nianki, i o wszelkie uderzające szczegóły jego dzieciństwa tak wiernie zapisane w pamięci matek i nianiek się dopytywać; stamtąd niechże się uda do jego nauczycieli albo raczéj do kolegów jego szkólnych i uniwersyteckich dowiadywać się o jego pierwszém wystąpieniu na świat, o jego pierwszéj miłości i t. p., i tak doszedłszy trop w trop za nim jak cień za ciałem aż do perjodu jego życia, w którym pisać zaczął, niechże wróci do jego dzieł, niech je jeszcze raz przeczyta, a pozna, że wszystko co było dla niego dawniéj hieroglifem, stanie się wówczas żyjącym obrazem; — obumarłe litery zmartwychwstaną; takie jest niezawodnie piętno samodzielnego pisarza powieści lub poezyi. Pozbawiony całkiem téj wiadomości, sądzę tylko z tego co czytałem; a z tego pozostały mi następne wrażenia. —

Kraszewski gienialny, najwięcéj dowcipny, lekki ma cokolwiek w sobie Woltera; tchnie w nim nie-

dowiarstwo w lepszą, a chętne upatrywanie we wszystkiém złéj strony; — złośliwy, ma wiele spólnego z neofrancuzkimi pisarzami, przeciwko którym pisał; — rozkiełznanie moralności nie dochodzi u Kraszewskiego do tego stopnia, co u Balzaka lub u Janina, jestto więcéj u niego rozkiełznanie dowcipu, który niczém nieposkromiony wpada często w amplifikacją i w tryb deklamacyi z przesadą. — Wątpię, żeby w jego czysto naukowych dziełach była ścisłość i akuratność pedantyczna, ale są tam błyski gienjuszu, tu i owdzie rozsiane tak jak we wszystkiém przez niego pisaném te meteory jaśnieją; a obok nich czasem płaski dowcip i ordynaryjne porównanie. Włada absolutnie językiem, zwykle szczęśliwie wychodzi łamiąc i nadwerężając przyjęty tryb pisania; jest jasny i dokładny w wyrażeniach, język i tok jest uniwersalny, pozbawiony nietylko prowincjonalizmu, ale téj cechy polskości, jaka znamionuje np autora pamiątek Soplicy. W Kraszewskim widać, że nie cierpi dla swego pióra żadnych więzów, a jakżeby mu było lubo pisać bez więzów. — Zresztą zdatności pisarskie Kraszewskiego kazały się daleko znamienitszych płodów spodziewać jak dotąd napisane. Choroba, która go trapi, przeszkadza mu w wykończeniu utworu odpowiedniego jego zdatnościom; ta choroba jestto gorączka pisania. Ta gorączka nie daje mu miru, pali a pali, a on niema innego konduktora na ten elektryczny ogień tylko pióro; pióro jego niema wytchnienia, z niezrównaną szybkością pędzi w papierze, ale się uciera, u c i e r a; — szkoda go na lepsze czasy! —

Krasiński fantastyczny filozofpoeta. Historyczne prawdy i palingenezją socyalną w suknią fantazyi obleka, a czytelnik niemogący dogonić jéj polotu dziwaczne robi domysły, i sam nad jego dziełami fantazyuje. Krasiński jest wielki malarz historyczny; a Kraszewski malarz z flamandzkiéj szkoły. Zakochał się on w tajemniczéj, mistycznéj formie; formuły dotąd używane są mu niczém; on sobie stworzył styl, a język chodzi mu posłuszny jak niewolnik panu; co nieprzypada do smaku czytelnikom jednotonne i regularne lubiącym wyrażenia. Są uszy stworzone tylko do mazurków i walców, inne do wielkiéj muzyki. Owoż to jakaś nieznana w prozie muzyka słyszeć się daje w prozie Krasińskiego; harmonja wzniosła, urocza jak przedmiot. Zarzucają niektórzy, że dzieła (Nieboska komedia i Irydion) będąc drammatycznemi mają ten wielki błąd, że osoby w nich wprowadzone niemają właściwego sobie języka, tylko wszystkie mówią jednym językiem autora; zarzut ten jest fałszywy, osoby tam wprowadzone nie reprezentują indywidualnego charakteru, lecz całą klassę ludzi, całą szkołę, całą sektę; nie jeden moment akcyi, ale cały okres czasu; właściwy język sekty, szkoły, klassy, właściwą cechę epoki umiał im autor wybitnie nadać. — (Szczegółowy tych dwóch dzieł rozbiór znajduje się w pierwszym roku Tygod. lit.)

Od gieniuszu całą ludzkość, całą ziemię, cały świat w swe potężne ramiona obejmującego, schodzimy do pisarza jednéj, odludnéj prowincyi, do pisarza Ukrainy. Ta Ukraina ma w sobie tyle rodziméj, dziewiczéj poezji, że ani jéj Marya Malczewskiego, ani Zamek Kaniowski Goszczyńskiego, ani poezie Bogdana Zaleskiego i Słowackiego wyczerpać niezdołały; została się jeszcze ta bogata niwa dla Czajkowskiego. I we wszystkich jego utworach, których tłem jest Ukraina, rozlana jest ta poezia, któréj urok jest niczém niezatarty. Pomimo wyszydzań i śmieszności, któremi w różnych recenziach chcą ten urok zniweczyć, pomimo nadużycia, które sam autor sobie pozwala przez jednotonne powtarzanie tych samych obrazów, przez naszpilkowanie dziwacznemi prowincjonalizmami, urok ten trwa i istnieć będzie, póki tylko w ludzkiéj piersi prawdziwa poezia znajdzie sympatią. Czajkowski jest zręczny opowiadacz; dzielnie wpływa na czucie; nikt téj saméj rzeczy lepiéj nie opowie, jak Czajkowski opowiedział. Ma tę zasługę, że nie poszedł bitą drogą, ale utworzył sobie właściwą, osobną manierę; co jest zawsze wzbogaceniem dla literatury. Nieszczęście tylko dla niego, że sobie zamierzył w powieściach polityczną swą wiarę ogłaszać, którą gwałtem umieszcza bez konsekwencyi i potrzeby; tak, że czytelnik zdziwiony, skąd do czytania podobnych wyznań przychodzi, robi domysły niekorzystne dla autora. Jak tylko Czajkowski zejdzie z pól Ukrainy, powieści jego tracą wierność rysów i są obrazem zamazganym. Każdy aktor powieści powinien mieć swoją podstawę w ludzie, lud nie powinien być ćmą, ale wyraźną figurą; przeciwnie np. w Kirdżalim lud jest bierny, nie czynny, Tudor i bojaryni kierują nim jak chińskiemi cieniami, żadna figura z ludu, który ma mieć p o d o b n o zapał i poświęcenie, nie występuje na scenę dowieść tego słowem i czynem; lud tam jest z charakterem, jak Napoleon mawiał: *matière première et chair à canon.* Widać tylko Kirdżalego, który się za wszystkich bije, zmiata głowy jak makówki. Minęły te czasy, gdzie jeden Hektor bronił Troi, jeden Achilles mógł go zwalczyć; zresztą rzecz cała niema miejscowego charakteru, mogłaby scena być równie do Madagaskaru przeniesiona.

W ogólności można to powiedzieć o spomnia-

nych pisarzach, że reprezentują wszystkie objawiające się charaktery w literaturze. Z Kraszewskim czytelnik się naśmieje, przytakuje mu często, a w sercu rośnie zwątpienie o ludziach, oburzenie na ludzi, i nakoniec nie postawia autor nic organicznego, nic żywotnego, nic twórczego w miejsce zawalonych w gruzy, wyszydzonych, podkopanych zasad; jestto późne echo Wolterowskiéj szkoły, odbijające się w nowéj formie przez piszących obecnie powieściopisarzy francuzkich. Krasiński jestto wyższy badacz kolei ludzkich; wystawia on wprawdzie także w nagiéj formie znikomość zabiegów ludzkich, ale żyje on wiarą pełną, niewzruszoną w opatrzność, w lepszą przyszłość ludzkości; i tą wiarą żywi i przejmuje czytelnika; stanowi on prócz tego nowy rodzaj w belletrystyce, i jest reprezentantem szkoły Lamenego. — Czajkowski urodził się poetą, ale nie rozprzestrzenił swego widokręgu; zamknął się w odrębnéj, ciasnéj formie, która jednakże dziwnie dobrze przystaje do poezyi, któréj jest tłumaczem. — Czajkowski potężnie wpływa na czucie najdzielniéj z wymienionych pisarzy i jest, jak ktoś już powiedział, twórcą osobnéj maniery; z tém wszystkiém rodzaj ten reprezentuje szkolę Walter Scotta z małemi odmianami. Nie są to wyroki, ale moje wrażenia i spostrzeżenia.

W. A. Wolniewicz.

Prelekcye Mićkiewicza.

Trzecia prelekcya z d. 28. *Grudnia r. z.*

Dalszy rozbiór pamiętników Paska był głównym dzisiejszéj prelekcyi przedmiotem. Mićkiewicz kilku przytoczonemi wyjątkami zwrócił słuchaczów uwagę, iż Pasek chwyta zawsze każdéj rzeczy stronę śmieszną i żartobliwą, czy to opisując powieści upowszechnione do dziś dnia między ludem, czy też opowiadając rzeczy poważniejsze, jak np. wpływ Francuzów na dworze Jana Kazimierza.

Następnie odczytawszy z Paska opis elekcyi króla Michała — tak daléj rzecz prowadził.

Gdyby podobnego dzieła jakiém są pamiętniki Paska miało wyjść kiedy wydanie ozdobne rycinami, pożyteczniejszą byłoby rzeczą, zamieścić zamiast przecinków i kropek — znaków pisarskich wcale tu niepotrzebnych — ryciny oddające poruszenia przedstawianych osób; poruszenie malujące musknięcie wąsa lub uderzenie szablą, więcéj by nam przedstawiało zapewne, lepiéj myśl tłumaczyło, a niżeli ten lub ów pisarski przestanek.

Cudzoziemcy dziwią się jak mógł istnieć kraj rządzony przez zgromadzenie 50 lub 60 tysięcy szlachty, zgromadzenie roztrząsające najważniejsze kwestye polityczne lub ekonomiczne; mam nadzieję, iż znajdziemy stanowisko z którego łatwo będzie obejrzeć całość i poznać istotne tego przyczyny. Dosyć na teraz powiedzieć, iż cały ten ruch publicznego życia, tak niezgodny na pozór, wyobraża zawsze myśl jedną. Czyż przypatrujący się wojsku w pochodzie, nie mógłby pomyślić nie raz, iż wśród téj massy największy panuje nieporządek, gdy dowódzcy nie troszczą się o to, i rozumieją tego wojska ruchy i rozpołożenie.

Rozszerzano się także wiele nad ułomnym sposobem wyborów, jaki istniał w Polsce; lecz dla czegoż ten sposób zachowywał naród? wszakże Polacy nie wyłączali od tronu potomstwa panującego króla, dla uniknienia więc elekcyi, dosyć byłoby posadzić na tronie księcia liczne mającego potomstwo, otoczonego rozgałęzioną rodziną. I były ku temu kierowane umysły. Jan Kazimierz abdykował koronę dla politycznych względów, dla ułatwienia Kondeuszowi przystępu do tronu, dopomagali mu w tém wszyscy z owego czasu politycy — lecz instynkt narodowy stanął na zawadzie, i owe usiłowania mozolne Kazimierza i jego głębokich polityków, obrażające ideę narodową o elekcyi, upaśdź musiały.

Nie należy albowiem mięszać wyobrażeń zupełnie z sobą sprzecznych. Elekcya według nauki kościoła i według nauki polskiéj była całkiem inném działaniem, nie podobném do dzisiejszego, różném od tego jakie sformułował np. Bentham. Elekcya była aktem boskim, rezultatem wpływu bóstwa, cudem prawie, i za grzech uważano wszelkie środki, sposoby, wpływające na wybór — uważano elekcyę jako działanie ducha świętego. Czytajmy listy konwokacyjne, nie znajdziemy w nich najmniejszéj o kandydatach wzmianki — przeciwnie, odnoszono się do uczucia religijnego wyborców — wybierajcie, mówiono, tego — którego wam Bóg natchnie. Jakimże więc sposobem, król lub arcybiskup mogli naprzód kandydata przedstawiać; wszelkie środki, najpożądańsze, najlepsze, uważanoby za gwałt sumienia. Król usiłował uorganizować elekcyę według wyobrażeń z 16. i 17. wieku — naród według swoich wyobrażeń dawniejszych — ztąd między politykami, dyplomatami, a massą drobnéj szlachty — narodem, rozłączenie było zupełne.

Kwestya ta dotyka organizacyi władzy; władzę starano się nie raz oprzeć na doktrynach racyonalnych — starano się utworzyć partye — chciano zgrupować interesa namiętności, około tego lub owego

monarchy — lecz jak upoić przeświadczenie o niebezpieczeństwach dla kraju z wyboru, jak zastraszyć podobnego człowieka jakim był np. kasztelan opisany przez Paska, który lubił słuchać świstu kul około swych uszu, który jawnie oświadczał iż dopóki żyć będzie, nigdy nie zezwoli na odmiennego rodzaju elekcye? Jak zakupić głosy szlachty, która, konie, broń, najkosztowniejsze rzeczy składała w darze królowi? nie było na to sposobu, nie było środka do zapewnienia królowi dziedzicznéj władzy. Król Stefan miał wielką władzę, czuł się silnym, wielcy panowie drzeli przed nim, ale było to tylko do czasu, dopóki nie zamierzył zmienić konstytucyi państwa. Król Michał został królem, mając zaledwie 2000 zp. dochodu, niższa szlachta wzięła na siebie obowiązek zapewnić mu poważanie i szacunek — karała surowo najmniejszą wyrządzoną mu obrazę — ale nic więcéj. Jan III. był prawdziwym monarchą kiedy prowadził naród pod Wiedeń — ale ten naród opuścił go, gdy ujrzał iż król uprojektował sobie wynieść Mołdawią i Wołoszczyznę na udzielne księstwa i oddać je swym synom dla utorowania im drogi do tronu. Najwięksi panowie, nawet w pomieszkaniu swojém, nie ośmieliliby się wymówić imienia królewskiego, inaczéj, jak powstając z miejsca i uchylając czapki — w ogólności przeto można powiedzieć iż król był szanowany przez szlachtę.

Lecz jak potrzeba było ustanowić władzę, wybrać podatki — należało odezwać się do uczucia religijnego, do szlachetności narodu. Ten dał 5 ów 10, 50, 60 tysięcy i podskarbi nie miał innéj pracy jak zgarniać i zapisywać ofiary. W Polsce więc władza musiała się zawsze gruntować na entuzyazmie narodu i jedynie na entuzyazmie. Lecz jak uorganizować monarchią według tego systematu? Możnaż być pewnym iż ten entuzyazm znajdzie się w każdym czasie w narodzie? iż zawsze go będzie można podnieść do właściwéj mocy? Widzianoż kiedy państwo, któreby żyło entuzyazmem, istniało przez entuzyazm? Takiego państwa nie było dotąd — będziesz ono w przysłości? historya nie ma prawa wyrokować o tem — lecz kwestya ta jakkolwiek zdawać się może cudzoziemcom jałową — dla Słowian jest niezmiernéj wagi, bo od niéj przyszłość zawisła.

Co przez tę ostatnią kwestyę chciał rozumieć Mickiewicz — w Polsce wszystko przez entuzyazm, przez wywołane poświęcenie zrobić było można; na to zgoda; ale co znaczy uorganizowanie państwa przez entuzyazm — istnienie narodu przez entuzyazm, nie umieliśmy dociec, i nie wiemy czy dalsze prelekcye więcéj w tym względzie rzucą nam światła.

W.

ROZMAITOŚCI.

O balach maskowych w wielkiéj operze w Paryżu powiada jeden z korrespondentów: żar światła opromienia fantastyczne dekoracye sali i ubiory lśniące rozmaitemi barwami. Musard ulubiony kompozytor kadrylów i Dufresne sławny trębacz są królami tych nocy paryzkich, prawdziwe bożyszcza ludu, które skłaniać się muszą do kaprysów mnóstwa; nieraz znaglają ich właśni poddani do zstąpienia z swych tronów muzycznych, unoszą ich w tryumfie po sali, stawiają śród siebie i okolają tańcem w wyuzdanych podrygach, jako żydzi złotego cielca. Na skinienie czarnego ich berła rospoczyna się huk muzykalny, podsycany przez stu muzykantów. Roznośny dźwięk puzanu basowego, rozrywający głos trąb, stłumiony gwar pałek, brzęk trzaskający talerzy łączy się w całość muzyczną, dziką, zachęcającą do bachantskiéj swywoli i tańca saturnalskiego. Z uczuciem trudném do opisania błądzi oko po nieskończonym tym zgiełku i zamieszaniu i widzi w bezładnych massach fantastyczne postacie, dzikie ubiory, rozpuszczone włosy, wzdęte piersi, rozpalone twarze, płynące suknie; ucho przeraża brzmienie instrumentów, śmiech, nawoływania, krzyk i tartas, Wielka galopada, zwana diabelską, kończy wszystko. Orkiestra takt przyśpiesza, a szelest tanecznéj muzyki tak okropnym się staje, że nawet by go nie przebiła trąba sądu ostatecznego. Zapamiętali tanecznicy, każdy swą tancerkę chwytając za ręce, toczą kręgi po sali, jako armia do szturmu idąca pod dymem prochu, śród huku armat, lub jako morze wiatrem wzdęte, bijąc o brzeg wzdętemi bałwanami. Obłoki kurzu wznoszą się powoli pod strop sali, światła gazowe bledną, świece woskowe drzą od wzruszonego powietrza. Jeżeli ujrzysz śród tego odurzającego gwaru i piekielnéj galopady wychyloną, bladą, okamieniałą postać Musarda, pomyślisz sobie, że to złowieszczy zastęp przesuwa się przed twémi oczyma, w obłokach kurzu, śród grzmotu i błyskawicy.

Pewna gazeta amerykańska utrzymuje, iż na ziemi naszéj mówią cztery tysiące pięćset językami, nie licząc wto mowy oczyma.

W upłynionym roku przedstawiono na teatrach paryzkich nowe sztuki dramatyczne, napisane przez 204 dotąd żyjących autorów.

Podług obliczeń najnowszych znajduje się w Anglii 13,000 obłąkanych, tak iż jeden na 500 Anglików cierpi pomieszanie zmysłów.

Sześdziesiąt tysięcy Angielek podpisało petycyą do Izby niższéj o zniesienie prawa zbożowego.

Pan Foulquier w Bordeaux miał odkryć sposób utrwalania kolorów za pomocą daguerreotypu. Kilka obrazów już wykończył w ten sposób, jak utrzymują gazety.

Młody Jones, który zręcznie dwa razy zakradł się do pokoju królowéj angielskiéj, znaczne zbiera dochody. Wiele teatrów londyńskich ofiarowało ojcu 300 tal. nagrody, ubiór i wyżywienie przez 6 miesięcy, aby w nich pozwolił pokazywać ciekawym, »owego młodego kochanka królowéj.« Ojciec nie przyjął ofiar, i sam na własną rękę pokazuje młodego chłopca za pieniądze.

W Messynie wystąpiła młoda dziewczyna, nazwiskiem Clorinda Singanelli na tamecznym teatrze i basem zaśpiewała. Ma ona być uczennicą słynnego Lablache. Przyrodzenie tu zapewne chciało wyrównać sprzeczności. W kraju męzkich sopranów stwarza niewieście basy. Nie jest to ironia przyrody?

MODY. — Paryż, dnia 5. Lutego 1842. — Ranny negliż. — Ubiór domowy z kaszemiru, z tłem niebieskiém, w maurytańskie wzory, podszyty pomarańczowym atłasem. Czepek z paryskich koronek. Chustka w bufki. Pantofle aksamitne. — Ubiór domowy z merynosu kaszemirowego w kolorze uschłego liścia, haftowany niekręconym jedwabiem, watowany i sztepowany. Kołnierzyk bez koronek, przejrzysto haftowany. Aksamitne pantofle, orzucone wązką wstążką. Mankietki karbowane. Czepeczek z walensiańskich koronek, z girlandą wstążkową.

Ubiór na wyjście. — Szlafroczek z ciemno-szarego barpont z peleryną z téj saméj tkaniny, futrem oszytą. Kapotka z atłasu fijółkowego z półzasłoną czarno-koronkową. Czarne bóciki. — Strójniejszy ubiór na wyjście. Suknia z czarnego podwójnego pekinu, w zielone i fijółkowe prążki. Długa peleryna z zielonego aksamitu. Kapelusz z białego niestrzyżonego aksamitu. Zarękawek gronostajowy.

Suknia z bronzowego półsukna z gładkim powłokiem i gładkim stanikiem, tylko sznurami oszyta. Obcisłe rękawy z żokejami sznurowemi. Kołnierzyk bàtystowy i mankietki à la Van Dyk. Długi szal kaszemirowy. Kapotka aksamitna.

Negliż wieczorny. — Suknia z damastu perłowego, z przodu otwarta na powłoce z różowego atłasu, wyłogi szaréj sukni w pewnych przedziałach fałdowaną wstążką różową ugarnirowane. Stanik i rękawy osadzone tulem bufkowanym. Białe rękawiczki, orzucone różową wstążką. Sevigné strój na głowę z różowych wstążek.

Strój wieczorny. — Suknia z blado-niebieskiego atłasu, z tuniką z angielskich koronek z falbanami, różami, diamentami i liściem aksamitném. Rękawiczki medycejskie. Chusteczka suta. Klejnoty z diamentów. Zdobny wachlarz i bukiet.

Suknia z mory kryształowéj, na powłoce trzy pasy ukosowe w kształcie fartuszka przyszyte, przedzielone sznurem pereł i kutasem. Gładki stanik trzykrotnie sfałdowany w kształt berty, u góry stanika i przez środek sznur pereł. Kapelusik z małym obwodem, z aksamitu, piórem zdobny.

Strój balowy. — Suknia z białéj krepy, orzucona z przodu po obu stronach koronkami, w dwóch rzędach, wężykowatych. W każdém zagięciu róża. Stanik gładki z peleryną koronkową z przodu i z tyłu, umocowaną na ramionach, małą różą. Obcisłe rękawy z bufkami krepowemi i koronkowemi. Strój głowy z róż i koronek. Wszystkie róże bez liścia, z diamentami w środku. Bukiet i bardzo suta chusteczka w ręce.

Dla męszczyzn. Fraki nie zmieniły kształtu swego, szerokiemi odznaczają się połami, z podszyciem atłasowém lub jedwabném. Na mniejszy strój u nich, guziki srebrne lub złote, pięknie rznięte.

Pantalony trykotowe w kratkę lub pasy, obcisłe na bótach.

Objaśnienie ryciny.

1. Paletot sac, watowany, z aksamitnym kołnierzem. Pantalony obcisłe.
2. Paletot z szerokiemi wyłogami aksamitnemi. Krawat kolorowy.
3. Najnowszy czepeczek, wstążką i kwiatkiem zdobny. Strój głowy grecki. Szal długi grosdenaplowy, z dwiema falbanami.
4. Czepeczek jak u 3. Szlafroczek z wełnianéj tkaniny. Stanik, rękawy i powłok z przodu suto pasamonami obłożone. Koronkowy kołnierzyk.
5. Ubior maskowy.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

